

## WSPOMNIENIA

---



<http://dx.doi.org/10.12775/AE.2021-22.029>

### ARCHIWUM EMIGRACJI

Studia – Szkice – Dokumenty  
Toruń, Rok 2021–22, Zeszyt 29

---

### „CZARODZIEJ LUDZKICH DUSZ” ZDZISŁAW RUSZKOWSKI (1907–1991)

Zdzisław Ruszkowski to splot miłości do malarstwa, XIX-wiecznej historii Polski i pejzażu nadbużańskiego.

Urodził się w 1907 r. w dworku w Brańszczyku nad Bugiem i pejzaż nadbużański do końca jakoś pod powiekami mu pozostał. Odnajdował się w wielu jego późniejszych płótnach.

Po studiach u Wojciecha Weissa w Akademii Krakowskiej wyjechał do Paryża. Po roku znakomity francuski malarz Marquet na podstawie jego dorobku zarekomendował Ruszkowskiego na stypendystę malarstwa rządu francuskiego. Komisja l'Academie Française zaakceptowała rekomendację i do wojny przebywał we Francji. W Paryżu poznaje i zaprzyjaźnia się serdecznie z innym malarzem, Wacławem Zawadowskim (Zawado), którego pomoc, często finansowa, pomaga przetrwać niełatwe początki.

Wybuch wojny zastaje go w okupowanej Francji. Jak wielu Polaków, próbuje przedostać się do polskiego wojska, co było tak trudne, jak ryzykowne. Ostatecznie przechodzi przez zieloną granicę, wprzęgnięty do wózka cygańskiego druciarza w miejsce psa imieniem Toto. „Wtedy nauczyłem się ekonomiki ciągnięcia wózka przez psa” – jak kiedyś wspominał... Kamuflaż okazał się udany i poprzez Pireneje i Hiszpanię dotarł do Gibraltaru. Stamtąd, z chińską wizą wbitą w paszport, dotarł do Anglii, gdzie wstąpił do polskiego wojska. Ukończył wojnę w stopniu kapitana. Zachował z tego okresu zeszyt z rysunkami i notatki ilustrujące te przygody. Wiele lat później te zapiski zostały wydane drukiem w Anglii pod tytułem *Unofficial War Artist*. Przyjęto je ogromnie życzliwie, krytycy porównywali rysunki do prac Honoré Daumiera.

W malarstwie był niezwykle precyzyjny, konsekwentny, z pełną świadomością co wart jest jego talent. Emocjonalnie pozostawał zawsze powiązany z Polską. Kiedyś podczas rozmowy o Anglii zauważył: „co to za kraj, gdzie nie ma kałuż...”. Zapewne wiedział, że ludzka wrażliwość potrafi dostrzec w nich niebo. Jego malarstwo miało coś z wiosennej podorywki. Wyobraźnia była starannie przemyślanym i kontrolowanym narzędziem w skomplikowanej materii obrazu. Niezwykła migotliwość i płynność form pozwalała wielu krytykom szukać analogii z Bonnardem, ale, jak twierdził Timothy Garton Ash, tak naprawdę szedł własną, niepowtarzalną drogą. Niezwykła liryka zawarta w jego płótnach nie była sumą przypadków, lecz wynikała z gruntownej wie-

dzy, fenomenalnej wrażliwości na kolor i pracy na płótnem. Malarstwo było dla niego najważniejszym życiowym posłannictwem. Często podkreślał, że nawet w ciężkich chwilach nigdy nie zarabiał inaczej jak malarstwem. Uderzał jego ogromny szacunek do malarstwa. Zanim płótno zostało uznane za ukończone, zalegało często latami sklezione z innymi, nim znalazła się odpowiedź na nierozwiązane zagadnienie. Używał wolno schnącego oleju makowego, zatem obrazy schły latami, dzięki czemu niosły, poza swoimi, *canneloni* z warstw farby, sąsiadujących na półkach innych płócien.

Po wojnie pozycja jego jako malarza dość szybko się ustala. Na pierwszej indywidualnej wystawie w 1948 r. u Roland Browne and Delbanco na Bond Street obrazy jego dostrzeżę znany angielski aktor, Charles Laughton, stając się jego pierwszym poważnym kolekcjonerem, podobnie jak jego brat Tom Laughton. Od lat 50. miał w Londynie 24 indywidualne wystawy w najbardziej liczących się galeriach londyńskich. W 1958 r. Tate Gallery wystawia jego obraz *Ukrzyżowanie*. Ogromną popularność zyskał też pokazany na wystawie w Agnews portret Henry Moore'a, z którym Ruszkowski przyjaźnił się i sąsiedował. Pracownia w Londynie przy St. Thomas Gardens miała za sąsiada studio Henry Moore'a, z którym łączyła Ruszkowskiego serdeczna przyjaźń. Pozostało z tego okresu popiersie malarza wykonane przez Moore'a oraz olejny portret Moore'a autorstwa Ruszkowskiego wystawiony przez Agnews. Wieloletnim towarzyszem w pracowni pozostawała suczka Kita oraz umorusane farbami taśmy z nagraniami oper i Mazowsza.

Pasowało do jego malarstwa powiedzenie Choromańskiego o Conradzie „Słowacki mórż południowych”. Jego obserwacja natury była bliska przenikliwości Conrada, zaś angielszczyzna równie egzotyczna. BBC przeprowadziło niegdyś z nim wywiad. Padło wówczas zapytanie, gdzie najchętniej maluje. „I have a cottage near England”, padła druzgocąca angielszczyznę odpowiedź. Nieoczekiwanie też wnikliwa, bo Ruszkowski był zawsze trochę „obok” Anglii. Mnogość zainteresowań Ruszkowskiego była niebywała, podobnie jak wiedza o malarstwie, znajomości historii Polski i literatury. W małym pokoiku, sąsiadującym z londyńskim studiem, od podłogi po sufit na regałach stały książki z Polską związane. Wśród nich porcelanowe figurki polskich oficerów z okresu Napoleona, gdzie olejną farbą z pasją nanosił poprawki w błędach mundurowych. Uzupełniał je, malując prawidłowe barwy mundurowe, na których znał się lepiej niż Gembarzewski. Pasjonowały go dzieje Polski XIX wieku. Znał najdrobniejsze detale i nazwiska z tych czasów i zrujnował sobie oczy, malując album mundurów formacji i pułków polskich. Jego wiedza ocalała mojego przyjaciela kiedyś od poważnej wpadki kolekcjonerskiej. Namalował dla siebie urzekająco piękny album, poświęcony barwom polskiej jazdy 1830 r. Mam jego jedyną kopię. Oryginał jest w Instytucie Sikorskiego.

Osobno rosła jego pozycja na angielskim rynku sztuki. Jego obrazy znane są jako początek zbiorów Scarborough Museum. Obok Cézanne'a, Bonnard jest tam kilkanaście płócien Ruszkowskiego. Ogromną popularność zyskał też pokazany na wystawie w Agnews portret Henry Moore'a. Coroczne wystawy w tej rangi galeriach utrwalały jego pozycję. „The Times” określał jego malarstwo pomimo związków z Cézanne'em i Bonnardem jako coś zupełnie odrębnego i samodzielne. Roger Berthoud, krytyk sztuki w „Independent”, określił je terminem *singing lyricism*.

Wydał dwie urzekające książki dla dzieci z własnym tekstem. Gotował doskonale. Zalegających w jego *cottage*'u w Devonie gości zachęcał delikatnie do wyjazdu, podając dwa razy to samo danie.

Tematyka obrazów niejednokrotnie nawiązywała do widoków z Polski, skąd przywoził masę szkiców. Najczęściej jeździł nad Bug, do rodzinnego Brańszczyka. W Pol-

sce, zachowały się jeszcze sprzed wojny, nieliczne zażyłości. Do nich zaliczał się Jan Cybis i historyk sztuki Jerzy Sienkiewicz. Spotkania z tym ostatnim bywały często burzliwe. Podlane greckim winem „Otello” odmienności w poglądach na tego czy innego malarza kończyły się nieraz tęgą awanturą. Jedna z nich miała miejsce w salach National Gallery i ciężko było spacyfikować rozindyczonych adwersarzy. Dokonała tego dopiero pewna piękna Polka, Maria Dydużyńska. Poszło, zdaje się, o Carpaccia. Innym powodem do draki było zaanonsowanie podczas kolacji przez Aleksandra Daszewskiego jako kluski, jego autorstwa spaghetti. „TO NIE KLUSKI, TO MAKARON!!!!” – odparował oburzony patriota...

W rozmowach o dawnej Polsce ogromnie irytował go brak wrażliwości polskiej arystokracji i Polaków na sztukę i stosunkowo skromne zbiory w porównaniu z kolekcjami wielkich domów angielskich czy francuskich. Niemniej, kiedy znany kolekcjoner poloników, Jan Sapięha, przypadkowo zachodząc na jego wernisaż, poprosił skromnie, żebym przekazał mu, jak niezwykle piękne jest jego malarstwo, był niezwykle ujęty i wzruszony. Zbliżyli się bardziej przy innej okazji i chyba zbyt późno, biorąc pod uwagę ich natury i drogę jaką obaj musieliby przejść, żeby się wzajemnie głębiej poznać. Kiedy pewien belgijski dyplomata o polskich korzeniach i historycznym nazwisku kupił dwa jego obrazy i zapłacił bez słowa niemałą cenę, Ruszkowski napomknął wtedy: „Jest Pan pierwszym Polakiem, który kupił mój obraz”.

Przekonania religijne Ruszkowskiego były mieszaniną niechęci do kleru i instynktownej wiary. Bodaj jedyny jego obraz o tematyce religijnej, *Ukrzyżowanie*, stał się na tyle złożoną wypowiedzią, że bodaj jako pierwsze dzieło polskiego malarza doczekało się wspomnianego miejsca w Tate Gallery. Wychowany po katolicku, pamiętał dawno zapomniane pieśni wielkanocne, które wyśpiewywał wspólnie z równie czarującym jak opasłym księdzem Milewskim podczas mocno podlanych i pięknie przygotowanych przez inną malarkę, Annę Kozłowską, świąt. O ile wiem, była to jedyna znana mu kobieta, której obrazy wyraźnie cenił, a o to nie było łatwo.

Profesor Stanisław Lorentz, odwiedzając go wielokrotnie, sugerował jakieś dary dla muzeum w Warszawie. „Kupcie coś najpierw, potem będziemy rozmawiali o darach”. Bolała go obojętność kraju na jego sztukę. Kiedy ogłoszono stan wojenny, liczne odznaczenia przyznane mu przez PRL odesłał do ambasady z tak zwięzłym jak nieparlamentarnym komentarzem.

Poznałem go około 1973 r., pojawiwszy się na progu jego pracowni z listem polecającym prof. Jerzego Sienkiewicza, datowanym dwa lata wcześniej. Był oceanem serdeczności i ciepła, kiedy już zawiązała się zażyłość, ale było o to niezwykle trudno. Do zbliżenia doszło wiele później, kiedy podczas podlanej „Otellem” pogawędki okazało się przypadkiem, że obaj niemal na pamięć znamy pamiętniki Aleksandra Fredry *Trzy po trzy*.

Lata później zostałem zaproszony do jego wiejskiej posiadłości w Lime Regis. Jest to już właściwie Kornwalia, kraj szmuglu, korsarzy, sztormów, wraków, pieczar, łgarzy i piekielnie zdraдлиwego cydru. Tam mieszkała z panienką, po śmierci męża generała, Daphne du Maurier, autorka *Rebeki* i *Jamaica Inn*, która, dobrze już po osiemdziesiątce, dodawała w 70. latach pieprzu okolicy. Wyjeżdżała z bramy ze skowytym sześciolitrowego silnika uwięzionego w sportowej blaszance i wbijała się w pelzające po drodze auta. Nieopodal mieszkał czarujący apostoł chaosu, aktor Sir Ian Carmichael, którego pasją, podobnie jak innych Kornwalijszyków, było budowanie na potrzeby licznych turystów i funkcjonariuszy podatkowych zagubionych w wijących się dróżkach, rad, jak nie dojechać, dokądkolwiek się wybierali. Kłapiąc sekatorem żywopłot, pytających o drogę obdarzał czarującym uśmiechem, skazując na wieczną banicję. Do tej pory

gdzieś tam pewnie błakają się ich zrozczone stada. To w końcu było zawsze samodzielne bardzo księstwo, mało podporządkowane centralnej władzy, do dziś jedno z dwu królewskich niezależnych księstw. Nawet teraz płacenie podatków traktowane jest z niezwykłą powściągliwością. Ojczyzna króla Artura i Czarnego Księcia, zamurowanych żywcem żon i otrutych kochanków.

Przyjechałem zbyt późno, by się manifestować i uderzyłem w kimono w samochodzie. Był to masywny, stary, ciężki wóz bmw z arcywygodnymi siedzeniami. Zjechałem o zmroku na plażę, zamknąłem auto i powędrowałem do pubu zjeść i poprobować lokalnego cydru. To zapewne uratowało mnie od poważnego nieszczęścia, jeżeli nie czegoś gorszego. Przyjąłem łatwo własne tłumaczenie, że lepiej zasnąć, jeśli powtórzę kolejkę. Po powrocie położyłem w samochodzie siedzenie i zasnąłem jak kamień. Cydr, jak inne płyny, upomniał się w nocy o swoje prawa, także otworzyłem na wpeł śpiący drzwi auta i... wszedłem po kolana do wody, a woda chlusnęła do środka. Był przypływ. Oprzytomniałem ze strachu momentalnie. Silnik jakoś zaskoczył, zabulgotało w rurze wydechowej i powoli wrzuciłem wsteczny bieg. Nic z tego. Koła obracały się swobodnie, woda podchodziła coraz wyżej. Wskoczyłem jeszcze raz, zostawiając buksujące koła na wstecznym biegu i rozpaczliwie zacząłem próbować wepchnąć auto na oddalającą się plażę. Anioł Stróż pojawił się w postaci policjanta na rowerze. Wspólnymi siłami udało się wypchnąć auto z błota, po czym powoli wytoczył je na twarde, choć wilgotny piach. Poczulem, jak ustępuje powoli spod żołądka mdła panika. Litościwy policjant, obsypany podziękowaniami cudzoziemca, wyjął spodnie z wody, spisał numery auta, obejrzał papiery, spoglądając spod oka to na mnie, to w papiery. Podrapał się w zamyśleniu po brodzie, posłuchał, czy zegarek dalej chodzi, potwierdził godzinę, dopisał do raportu i... popedałował wężykiem po mokrym piasku. Po chwili odwrócił jeszcze głowę „see, if there aren't any fish in your pockets”, usłyszałem z oddali. Zapewne lepiej niż ktokolwiek wiedział, jak łatwo mogłem popłynąć w zamkniętym samochodzie na tamten świat.

Było to podczas otwarcia sławnego sezonu cydru. Niejedna mocna głowa nie wytrzymała tych emocji. Wśród ofiar znalazł się nawet Lieutenant General Brian Horrocks, figura w historii drugiej wojny światowej, serdeczny przyjaciel i uczeń naszego malarza. Do wieczora, póki kierowca nie przyszedł do siebie, opasany skórzanymi pasami nos jego bentleya drzemał w przydrożnym rowie.

W takiej scenerii mieściła się forteca Zdzisia, okolona murem z krzemienia porośniętego gęsto rododendronami. Wewnątrz trzy z angielska nazywane „kotydze”, gdzie jeden służył za pracownię, drugi jako mieszkanie, zaś w trzecim zalegali goście. Jak każda wizyta u Ruszkowskiego i ta znajdowała swój koniec. Sygnałem była powtórnie, raz już kiedyś podana potrawa. Gotował zawsze sam i niezłe. Nikomu nie schło przy tym w gardle. W gorących dyskusjach nie małą rolę grały poźółkłe paluchy, pomiędzy którymi siedział *cherutte*, rodzaj cienkiego cygara. Nad nim serdeczny uśmiech, po oficersku przycięty wąs w cieniu potężnego nosa z parą bystro patrzących niebieskich oczu pod szerokim czołem. Malował zawsze od ranka, który rozpoczynało golenie przy studni na golasa, przy akompaniamencie wyśpiewywanych głośno żurawiejek.

Jedna z pierwszych wystaw, na które trafiłem, powinna okazać się klapą, choć stało się odwrotnie. Był to okres strajków górników w proteście wobec reform pani Margaret Thatcher. Oszczędności zmuszały wtedy rząd do sukcesywnego wyłączenia w dzielnicach Londynu elektryczności. Padło akurat na galerię przy Bond Street w chwili otwarcia wernisażu Ruszkowskiego. Zrobiło się ciemno, po chwili zapalono kilka świec, ale o oglądaniu obrazów nie mogło być mowy. Goście pozostawali z kieliszkami w rękach,

gwarząc w półmroku. Na jednej ze ścian widać było zarys dużego obrazu przedstawiającego, w tym momencie, nieczytelny pejzaż. Po jakimś czasie zapaliło się światło i wtedy, na fiszce pod obrazem ukazały się... cztery naklejone czerwone kółeczka. Tyle osób postanowiło kupić obraz „w ciemno”. Drugą sensacją był portret George’a Lambourna, przypominający zwięzłością i kolorystyką dzieła Tycjana. Późniejsze wystawy organizowane były przez jego przyjaciela i wielkiego kolekcjonera, Michaela Simonowa, którego zbiory zawierają takie nazwiska jak: Vincent van Gogh, Pierre Renoir, Kees van Dongen, Pierre Bonnard czy Pablo Picasso. Ruskowskiego zawsze widział jako perłę w koronie.

Przed śmiercią, dotknięty utratą wzroku, nasz malarz zaczął rzeźbić. Pozostało z tego okresu kilka doskonałych dzieł. Próbował też malować i ostatnie jego obrazy są niesłychane. Malował bowiem świat idealny, jaki pamiętał bardziej niż widział. Kładł kolory częściowo z pamięci, podobnie jak stary Beethoven dźwięki, komponując swoje symfonie. Prześwietlone o ostrych, wibrującym jak muzyka Strawińskiego barwach, stały się urzekającą i piękną wypowiedzią malarza w walce z nadchodzącą śmiercią.

Nie wiem, czy nadal przed jego domem na St. Thomas Gardens widnieje jego mozaika, po której nieomylnie trafiałem w małe drzwi prowadzące wąskim korytarzem suteryny obok biblioteki, do rozległej pracowni. Po jednej stronie stała kanapa z wielką chustą śląską pełną dziur. Te były zamalowane farbą, żeby nie było widać przez nie gołej ściany. Naprzeciwko stały sztalugi obwieszane stalaktytami z farb. Z tyłu znajdowały się półki z obrazami. Jakoś mniej więcej około 1970 r. po raz pierwszy zobaczyłem tam puste półki. Z pracowni znikły niemal wszystkie płótna. Okazało się, że wykupił je jakiś francuski bank. O ile wiem, żadne z tych płócien nigdy się nie pojawiło na rynku sztuki.

Na krótko przed odejściem doczekał się propozycji wystawy jego malarstwa, złożonej Muzeum Narodowemu przez lorda Gowrie, ministra kultury w rządzie pani Thatcher. Jako prezes największego wtedy na świecie domu aukcyjnego Sotheby’s zjechał do Polski i przy okazji innych spraw zaproponował wystawę Ruskowskiego z pokryciem przez nich wszystkich jej kosztów. British Airways zaofiarowało darmowy transport obrazów. Katalog był gotowy. Nie chcę zastanawiać się, jakie pobudki stanęły za utraceniem tej wystawy przez Muzeum Narodowe. Zdziś zdążył dowiedzieć się jednak o tym dwa dni przed śmiercią.

Trudno nawet dziś zapomnieć, jak bezbrzeżną głupotą był ten list.

Wydany przed śmiercią malarza, niezwykle sumiennie opracowany, katalog *raisonnée* jest wspaniałym dokumentem dorobku tego, jednego z największych w moim pojęciu, polskich artystów. Jego płótna były wystawiane w Tate Modern, National Gallery of Scotland, Muzeum w Sheffield, na stałej ekspozycji w Modern Art Museum w Scarborough i Collection Départementale du Patrimoine, Abbaye de Flaran.

Ruskowski był również autorem opowiadań dla dzieci, które sam ilustrował, podobnie jak wiele innych książek. Pozostawił też liczne grafiki i kilka rzeźb.

Zmarł w 1991 r. W Anglii odejście jego było szeroko komentowane przez prasę, radio i telewizję. Timothy Garton Ash, wielki jego przyjaciel, historyk i znakomity krytyk sztuki, nad jego grobem powiedział: „Mam w domu obraz Bonnarda, Van Gogha i Ruskowskiego. Dziś mogę powiedzieć, że Ruskowski jest mi z nich najbliższy”.

W Polsce nie padło jedno słowo. Michał Choromański nazwał niegdyś Conrada Korzeniowskiego „Słowackim Mórz Południowych”. Ruskowskiego można nazwać „Malarzem – czarodziejem ludzkich dusz”.

Jacek Czczot-Gawrak